

Autor: Radosław Marciniak

Opublikowane w: Gazeta Horyniecka nr 14, 11 grudnia 2007

Pierwsze spotkania z końmi

Popołudniowe, czerwcowe słońce świeciło jeszcze jasno i z wysoka, gdy szukałem wzrokiem drogowskazu na Brusno. Był to rok 1997. Wówczas nawet nie myślałem, iż najbliższe dni zadecydują o mojej pasji na wiele kolejnych lat. A kto wie może i na resztę życia, póki zdrowie i sprawność fizyczna pozwolą.

Drogowskaz „Brusno 14”, skręciłem w lewo w Cieszanowie. Brukowany wówczas kawałek drogi dawał się lekko we znaki mojemu wiśniowemu Espero. Mijam szkołę, potem dwa ostre zakręty. Dobrze, że otoczenie i nastrój tego miejsca nie zachęcają do szybkiej jazdy. Długi kawałek szosy z rzadkimi łukami, właściwie bez zakrętów pozwoliłby na przyspieszenie, gdyby nie wyboje, a raczej dziury w jezdni. Mijam Chotylub, przez moment jestem zdezorientowany, nie wiem, czy jechać prosto, czy skręcać na mostek. Droga w prawo wydaje się być główną, zatem zapewne właściwą. Z niepokojem spoglądam jednak na drewnianą konstrukcję mostu. No cóż, wydaje się solidny, przejeżdżam.

Obserwuję krajobraz. Dokoła las, czasami tylko widać nieco pól. To skłania do refleksji. Ostatni okres był pracowity, a tempo pracy duże. Przygotowywanie dokumentacji otwarcia uczelni, zbieranie materiałów do doktoratu i zwykłe codzienne życiowe problemy zadecydowały o szukaniu samotni. Okolica wydaje się idealna do wypoczynku. Mimo niespiesznej jazdy czas i droga mijają szybko. Zwalniam, droga na Horyniec ma pierwszeństwo. Uzyskany telefonicznie opis dojazdu jest na szczęście dość dokładny. Jadę prosto, mijam Brusno, po prawej szkoła, zakręty i Polanka. Rozglądam się za jakimś znakiem sugerującym stadninę koni. Nic takiego nie zauważam. Polanka się kończy. Kieruję się dalej szosą, wjeżdżam na wzgórze. Coś się nie zgadza. Próbuje się dodzwonić z komórki, ale nie mam sygnału. Trzeba zawrócić. Po chwili znów Brusno. Pytam o drogę napotkaną osobę. No jasne, przeoczyłem drogę w lewo. Droga gruntowa, ale skrzyżowanie wielkie niczym w Lublinie. Zamiast drogowskazu do stadniny, stoi czerwona tabliczka „do punktu czerpania wody” i poniżej druga, mała, drewniana z wypalonym lub wyrysowanym węglem końskim łbem. No tak, po prostu tego nie zauważyłem. Samochód kołysze się na wertepach. Jadę powoli, ale nie spieszy mi się. Kolacja ma być o osiemnastej, a jest dopiero po szesnastej. Wieś się kończy i zaczynają się pola, ale w niewielkim oddaleniu znowu widać las. Ciszę zakłóca tylko pomruk silnika i odgłosy ciężko pracującego zawieszenia. Wjeżdżam na wzgórek. Po obu stronach kamienne słupy sugerują dawną bramę. Jest zasięg w komórce, ale nie mam już potrzeby dzwonić. Znowu krzyż, tym razem po lewej. Grobów jest tu jak widać dużo. Zwalniam, aby coś przeczytać, ale napis zatarty i chyba nie po polsku. W oddali pośród drzew widać dach domostwa. Dookoła tylko las. Zatrzymuję się i rozglądam. Z tyłu, na wzgórzach po lewej, wyraźnie rozpoznaję kształt bunkra. Okolica wydaje się kryć jeszcze wiele, być może nawet nie odkrytych, tajemnic.

Zjeżdżam w dół, po lewej staw, potem droga wznosi się i wjeżdżam na posesję. Psy witają mnie ujadaniem. W drzwiach pojawiają się gospodarze. Wsiadam. „Dzień dobry, jestem Ewa” słyszę i za chwilę drugie męskie dzień dobry, ale jakby z obcym akcentem. Sciskamy sobie dłonie. Maszeruję za gospodynią na drugie piętro sporego budynku. Pokój nosi numer sześć. Jest z kominkiem. Wyłożony drewnianą boazerią. Wnoszę bagaże i rozpakowuję się.

Schodzę na dół do jadalni, chwilę rozmawiamy i już jest kolacja. Gotuje pani Maria. Tęga kobieta, ale też i smacznie gotuje. Nie jestem jedynym gościem. Są jeszcze 4 osoby. Przy kolacji dowiaduję się, że witający mnie mężczyzna jest Niemcem. Dogadujemy się po angielsku, chociaż w prostych sprawach można i po polsku. Niestety mój niemiecki jest za

słaby na podejmowanie poważnych dyskusji. W kuchni natykam się jeszcze na Marcina. To on zajmuje się końmi. Po kolacji wychodzę przed dom. Urokliwe miejsce. Polana otoczona ze wszystkich stron lasem, ale wystarczająco duża, aby zmieścić się na niej jeszcze jeden mniejszy domek, dwie stajnie, jakaś szopa i prawie zrujnowany kolejny domek. Oprócz tego obszerne podwórze, nieco z boku duża trawiasta ujeżdżalnia i kawał łąki opadającej w zagłębienie strumienia. Po prostu pięknie. Ze stajni dobiega rżenie. Idę obejrzeć konie, cel mojej podróży. Zadanie zaplanowane na ten tygodniowy, a właściwie dziewięciodniowy pobyt, to nauczyć się jeździć konno. Dziewięć dni, to wydaje się wystarczająco długo, aby tego dokonać. Wchodzę do stajni. Kilkanaście koni zerka na mnie ciekawie. Niektóre stoją w zakratowanych do sufitu boksach, inne mają bardziej bezpośredni kontakt ze sobą, gdyż oddziela je tylko drewniana ścianka sięgająca piersi. Z pewną rezerwą dotykam delikatnych miękkich końskich pysków. Niektóre pozwalają mi na to i nawet liżą moją dłoń, inne jednak nieco nieufnie cofają łby obwąchując mnie uważnie. Jeden wyraźnie kuli uszy. Nie znam się na tym, ale nie wygląda to zachęcająco. Na wszelki wypadek przechodzę dalej, poza zasięg jego szyi i pyska. Wchodzę do drugiej stajni, zabawa się powtarza. Za mną wchodzi gospodyni. „To co, jest pan gotowy, panie Radku, do pierwszej jazdy?” Niezbyt pewnie kiwam głową, ale z uśmiechem przyjmuję wyzwanie, które sobie postawiłem. Wracamy do pierwszej stajni. Tam są siodła i ogłowia dla koni oraz sprzęt do ich czyszczenia. Zanim jednak zaczynamy lekcje, idę się przebrać.

Lekcja pierwsza, czyli czyszczenie teoretyczne, przebiega w zasadzie bez zakłóceń. Pani Ewa czyści konia i jednocześnie opowiada jak się to robi. To jest szczotka, to zgrzebło, to kopystka, a tak się tego używa. Znów mam mieszane uczucia. Koń nieco kładzie uszy po sobie i obraca łeb za pracującą osobą, gdy ta przesuwa zgrzebłem. Klacz ma na imię Madera i jest już nieco wiekowa. Podobno dzięki temu może służyć do nauki jazdy. W końcu koń ubrany w siodło i ogłowie wymaszerowuje ze stajni, ja uprzedzony, aby trzymać się z boku zwierzęcia, albo daleko z tyłu, na wszelki wypadek zachowuję solidny dystans. Idziemy na ogrodzone koło, zwane tutaj koralem. W dłoniach mojej instruktorki dostrzegam długi bat i jeszcze dłuższą taśmę. Żartuję „to na mnie, czy na konia?” „Na pana, oczywiście, że na pana, konia się nie bije, a lonża służy do tego, aby nie uciekł pan z siodła!” No myślę sobie, to nie fair, pani Ewa ma przewagę, umie jeździć i może sobie żartować, ale mnie nie jest do śmiechu. Już przy pierwszej próbie wsiadania koń się wierci, a mnie trudno trafić najpierw stopą w strzemię, a później odbić się od ziemi, aby przełożyć nogę nad siodłem i wreszcie usiąść. Poza tym, strzemię jest zawieszane niemiłosiernie wysoko. W końcu udaje mi się usadowić w siodle. Pani Ewa dopasowuje długość strzemion, przypina taśmę, czyli lonżę do kółka przy wędzidle i zachęca konia do marszu. Madera rusza leniwym krokiem w lewo. Ja zaś kolebię się siedząc na niej niepewnie. Wysłuchuję uwag odnośnie postawy, wyprostowanej sylwetki, nie wsuwania stóp zbyt głęboko w strzemiona i nie wysuwania nóg zbyt daleko do przodu. Próbuję korygować swoje działania według wskazówek, ale jak jedno poprawiam, to drugie się psuje i nawet o tym nie wiem, dopóki uwaga się nie powtarza. „Oglądałem wiele westernów i tam mieli takie fajne siodła z rączką z przodu” mówię. Pani Ewa śmieje się i objaśnia różnice w rzędach końskich i sposobie jazdy. Mija 15 minut łażenia raz w lewo, a raz w prawo i trenerka zachęca mnie do podjęcia próby kłusa. Mam ścisnąć konia łydkami. Czynię to, ale nie ma reakcji, Madera nie przyspiesza. Jedyne jakby zdziwiona lekko obraca łeb. Śmieje się ze mnie, czy co? Aha zapomniałem ją wypchnąć biodrami. Ponowna próba kończy się pełnym sukcesem, koń rusza do kłusa, a ja unoszę się zgodnie z zaleceniem instruktorki i opadam w siodło. Zderzenia z siodłem nie są przyjemne. Siodło jeszcze dwukrotnie klepie mnie w pośladki i przestaje. Madera porzuciła kłusa i przeszła do stępa. Ponowna próba przy uniesionym, za zadem Madery, bacie wypada lepiej. Klacz nie zwalnia, a ja próbuję dopasować się rytmem swego ruchu do ruchu konia. Po kilku chwilach jestem zmęczony. Stopy wsunęły się głęboko w strzemiona, a nogi przy każdej

próbie powstania „odjeżdżają” do przodu i w efekcie nie mogę nadażyć za koniem. Przytrzymuję się wodzy, które wcześniej luźno spoczywały w moich dłoniach. Odkryłem, że jeżeli są krótsze to mogą służyć za punkt podparcia. No i koń natychmiast zadziera łeb do góry, traci rytm i wreszcie przechodzi do stępa. No tak, nie taki był cel. Dowiaduję się też, że ostrzejszy koń (cokolwiek miałoby to oznaczać), zamiast zwolnić mógłby zdenerwować się i przyspieszyć. Całe szczęście – myślę sobie – że nie ten, bo jeszcze bym się zgubił. Ostatecznie udaje mi się złapać nieco równowagi, ale pod warunkiem, że jestem pochylony do przodu. Jestem zmęczony, jednak zbieram delikatne pochwały. O dziwo mija dopiero dwadzieścia minut moich wysiłków. Z pewnym zaskoczeniem stwierdzam, że Madera, chociaż mnie nosi na grzbiecie, wcale nie jest spocona, podczas gdy ja mógłbym zostać wyjęty i rozwieszony na sznurku do suszenia bielizny, a schnąć musiałbym pewnie ze dwa dni w słońcu. Pani Ewa obiecuje jednak nagrodę, rychle zejście z konia, pod warunkiem, że zagalopuję, oczywiście, jeśli zechcę. Chcę. Niestety próby samodzielnego wrzucenia trójki spełniają na niczym. Madera przyspiesza kłus, ja stoję w siodle, aby uniknąć wysadzenia mnie z niego, ale galopu to w tym chodzie nie ma ani trochę. Kolejne podejście i znowu nic. Udało mi się siaść w siodło, ale nie zdążyłem przyłożyć łydek do boku konia, a już musiałem łapać się wodzy i siodła, aby nie stracić równowagi. Ostatecznie udaje się, ale z pomocą zewnętrznego „pedału gazu”, czyli bata i przy mojej postawie prawie stój z podpieraniem się o szyję Madery i trzymaniem jej grzywy. Schodzę jednak dumny. Pierwszy raz w życiu galopowałem konno i chociaż trwało to kilkanaście sekund, to jednak nie spadłem. Przecież kowboje na rodeo dostają medale już za 8 sekund utrzymania się na grzbiecie, fakt nieco mniej leniwych, wierzchowców Nogi bolą mnie bardzo, zarówno od kurczowego ich zaciskania na bokach konia, jak i od otarć, gdy zaciskanie nic nie pomagało, a łydki szorowały po bokach siodła, szczypane po drodze przez pasy od strzemion (jak mi wyjaśniono – puśliska). Pani Ewa od razu pyta, czy możemy umówić się na następny dzień na lonżę na godzinę dziesiątą. Zanim zdołałem pomyśleć racjonalnie, już moja męska duma wypchnęła mnie przed szereg i oczywiście zgodziłem się. Odrobina zdrowego rozsądku kazała mi nieśmiało wspomnieć o dolegliwościach łydek. Rada szybko się znalazła. Do toczka, który miałem na głowie dołączam kolejny sprzęt, czyli sztylpy, którymi będę mógł sobie owinać nogi.

W pokoju, przed zaśnięciem, rozmyślam o mojej pierwszej jeździe konnej i uświadamiam sobie, że nie była ona jednak pierwszym doświadczeniem jeździeckim. Przypominam sobie, że po raz pierwszy wsiadłem na konia u rodziny na wsi w okolicach Kraśniczyzna, i było to 26 lat temu. Miałem wówczas 11 lat. Daleko nie zajechałem. Stara klacz pociągowa (chyba mam szczęście do starych klaczy) miała być zaprowadzona do wodopoju. Starszy stryjeczny brat pozwolił mi na nią wsiąść na oklep, a raczej sam mnie na nią wsadził. Za wodze służył postronek przypięty do kantaru. Wodopój był w rzeczce 200 m od rodzinnych zabudowań, ale dystans ten okazał się dla mnie za duży. Klacz, czy to nie chciała pić, czy to złośliwie postanowiła odmówić posłuszeństwa, grunt, że zawróciła. Oczywiście dzierżąc ster w ręku ponownie naprowadziłem ją na właściwy kierunek ciągnąc za sznurek, to znaczy za uwiąz. Niewiele to dało, ponieważ dwa kroki dalej znów klacz zawracała. Mając tylko jednostronne kierowanie zawróciłem ją jeszcze raz o 180 stopni. Tego było dla niej za wiele. Następny zwrot wykonała szybciej i oddaliła się galopem. Ja oczywiście w czasie zwrotu elegancko zsunąłem się na zewnętrzną celem sprawdzenia twardości lokalnej łączki. Klacz złapał dopiero brat na przynętę w postaci miarki owsa, gdyż to cwane zwierze oddalało się za każdym razem, gdy poobijany próbowałem się do niego zbliżyć.

Następnego dnia lekko ocieślały po śniadaniu, przebrałem się w mój nieśmiertelny strój ze sklepów z militariami, który wszakże miał jedną istotną zaletę. Potrafił bez prania wytrzymać tydzień przy koniach i nie było na nim widać brudu, no może tylko trochę było czuć tę intensywność używania. Mając przemyślaną strategię trzymania pięt nisko, nie ciągnięcia za

wodze oraz rozluźnienia się zamiast kurczowego przywierania wszystkimi możliwymi częściami ciała do konia i siodła wybrałem się czyścić konia. Gdy już wyczyściłem Maderę, uważając, aby nie poznać siły nacisku jej szczęk na swoich plecach, przysłała pani Ewa i z promiennym uśmiechem stwierdziła, że dzisiaj będę jeździł na innym koniu – na Karnecie. Poczuliśmy się tak, jakbyśmy spiesząc się do pracy w zimowy poranek odśnieżył samochód ... sąsiadowi. Rad nie rad, zabrałem się do czyszczenia Karneta. Nagrodą był całkowity spokój tego 5-letniego wałacha i zdany, z niewielkimi poprawkami, krótki egzamin z siodłania konia. Tym razem na kole szło nieźle, problemem były oczywiście rytm i równowaga jeźdźca w klusie, no i odczuwałem pewien lęk przed galopem, na tym dość wysokim w porównaniu z Maderą koniu, w obrębie małego i do tego ogrodzonego koła. Galopy były krótkie, ale na obie nogi i dumny prowadziłem konia do stajni, umawiając się z panią Ewą na następną, popołudniową jazdę, ciesząc się, że nie doskwierają mi żadne mięśnie, ani otarcia. Kolejnym razem miałem uzyskać więcej „przestrzeni życiowej”, czyli miała to być jazda na ujeżdżalni. Pozostały wolny czas spędziłem na wyprawie do widzianego dzień wcześniej bunkra. Przymykając płytkim lasem porastającym przedpole betonowej budowli przypomniałem sobie, iż to fragment radzieckich linii obronnych i że takich bunkrów w okolicach musi być więcej. Z jednego z otworów strzelniczych wystawała lufa armatnia. Jej końcówka była jednak rozdarta na wszystkie strony, niczym skórka od banana. Czas minął szybko na zaglądaniu w różne dziury bunkra i nie zdążyłem już wybrać się w kierunku pobliskiego starego cmentarza, ledwie przychodząc na czas na obiad.

Pozostałem, za zgodą pani Ewy, wierny Karnetowi. Jazda na ujeżdżalni nie była jednak całkiem samodzielna. Przede mną jechał Marcin na innym koniu i to on wykonywał polecenia instruktorki dotyczące chodów i kierunków, a ja (właściwie Karnet) naśladowałem go, mając jedynie namiastkę samodzielności. Namiastkę, która i tak stanowiła uludę i została mi odebrana przez konia, gdy nie chciał zareagować na moją nieśmiałą i potajemną próbę zmiany kierunku w celu nie podążania za Marcinem.

Przetrwalem jednak trudy regulaminowej jazdy, czyli wszystkich chodów i zmęczony po 45 minutach odprowadzałem Karneta do stajni. Karnet niósł bardzo miękko i na dość równej nawierzchni ujeżdżalni nie miałem większych trudności z utrzymaniem rytmu anglezowania. Nadal jednak obawiałem się zakrętów w galopie i tego, że wyląduję (bez konia) na ogrodzeniu. O dziwo nie bałem się samego upadku z konia, a może wydawało mi się to po prostu niegroźne. Czasami jednak brak wyobraźni pomaga.

Kolejny dzień to próba terenowa. Spokojnym stępem ruszamy po śniadaniu do lasu. Noga za nogą, krok po kroku maszerujemy leśnymi drogami. W zastępie jest pięć koni. Prowadzącym jest Marcin za nim trójka jeźdźców – gości i jako ostatni jedzie Zygryd, z którego się śmiejemy, że będzie musiał zbierać niedobitki po upadkach z koni i wsadzać ich na siodła. Miałbym ochotę, niezależnie od moich umiejętności, spróbować już klusa i galopu w terenie, a tu czas się dłuży na stępie, ale Marcin wyjaśnia jednoznacznie. Koniom potrzebna jest rozgrzewka i minimum dziesięć minut zawsze będziemy maszerować stępem. Również powrót ma odbywać się w stępie, a konie mają wracać do stajni suche. Po kilkunastu minutach ruszamy jednak klusem i za chwilę znowu zwalniamy do stępa. Pada komenda „podciągnąć popręgi”. Pani Ewa pokazywała mi jak to się robi, ale teraz, kiedy koń maszeruje utrzymanie równowagi z przesuniętą do przodu lewą nogą nie jest proste. Do tego trzeba podnieść i przytrzymać płat skóry siodła, który jak pamiętam nazywa się tybinką, a którego uniesienie pozwala na dostanie się do pasków siodła (przystuła) i do popręgu. Cała operacja jest dla mnie trudna. Widzę, iż nie tylko ja się męczę. Tybinka opada mi po raz kolejny, a popręg jest zapięty już tylko na jednym pasku, bo drugi jak podciągnąłem i nie trafiłem na dziurkę rozpiął się zupełnie. Drugiego na wszelki wypadek nie ruszam bojąc się, że rozepnę popręg zupełnie. W końcu od czoła pada pytanie, czy wszyscy gotowi. Zanim zdążyłem zaprotestować odezwały się inne głosy negatywne. Rzykując utratę równowagi, podkładałam tybinkę pod

kolano i kiedy mi mniej przeszkadza, udaje się ponownie zapiąć popręg i nawet podciągnąć go o jedną dziurkę na obu przystulach. Potwierdzam swoją gotowość i czekam. Przez chwilę posuwamy się piaszczystą szeroką drogą. Sto metrów dalej skręcamy w lewo w podobną drogę. Ruszamy klusem. Po chwili okazuje się, że nie jest to już takie łatwe jak na ujeżdżalni. Droga jest nierówna, a i mój koń próbuje dopędzić poprzednika. Próbuję go powstrzymać ciągnąc za wodze i chociaż odnosi to pewien skutek, to jest on krótkotrwały i co chwilę muszę tę czynność powtarzać. Jednak Karnet nie jest z tego zadowolony i potrząsając głową wyciąga mi wodze z ręki. Próbuję je pozbierać, gdy po kilku minutach tych męczarni pada komenda do galopu. Karnet, nie czekając na jakiegokolwiek moje polecenie, rusza natychmiast kiedy orientuje się, że inne konie zaczynają galopować. Oczywiście tracę równowagę przy starciu i noga wypada mi ze strzemienia. Pochylam się i łapię się grzywy. W tej pozycji nie jestem w stanie ciągnąć za wodze, zakładając, że to cokolwiek by pomogło, oczywiście w celu zatrzymania konia. Karnet jednak galopuje spokojnie i niespiesznie dalej zupełnie nie zwracając uwagi na moje harce w siodle. Wykorzystuję więc ręce do odciążenia lewej nogi i lekkiego jej uniesienia w celu włożenia nogi w strzemień. O dziwo dość łatwo mi się to udaje. Oddycham z ulgą i próbuję złapać równowagę bez podpierania się rękami. Wszystko wskazuje na to, że galop jest łatwiejszy niż klus.

Przez następne czterdzieści minut włączymy się po leśnych drogach na przemian stępując, klusując i czasami galopując. Nie ma sensacji, nikt nie spada. Żaden koń nie próbuje przejąć kontroli nad jeźdźcem. Wracamy do stajni i tylko Zygfryd pyta, co ja takiego robiłem na początku jazdy. Nie wdając się w szczegóły, wyjaśniam zdarzenie ze strzemieniem.

Kolejne dni mijają na jazdach. Jeżdżę tylko w teren. Ani lonża, ani ujeżdżalnia nie podobają mi się, są nudne. Mnie marzą się dzikie, szybkie galopy, a nie żmudny trening. Wolalbym pobawić się w Indian i kowboi. Lubię jeździć jako ostatni w grupie. Pozwala to na różne próby na własną rękę, poza oczami prowadzącego grupę Marcina. Zostaję trochę w tyle, a potem mam dłuższy dystans do galopu i mogę nieco szybciej pojechać. Odnoszę też „wielki” sukces jeździecki. Udaje mi się konia zatrzymać i przytrzymać go przez kilka sekund, gdy inni ruszają klusem. Potem daję mu spokój, bo Karnet zaczyna się bardzo denerwować. Innym razem próbuję go zawrócić w przeciwną stronę niż kierunek marszu całego zastępu. Kilka pierwszych prób było jednak nieudanych. Zawracać się, co prawda udawało, ale Karnet natychmiast robił kolejny obrót o 180 stopni i szybciej lub wolniej dołączał do zastępu.

Przedostatniego dnia przyszły ciężkie dla mnie chwile. Zamiast Karneta miałem osiodłać dla siebie Elektranta. Konie te wzrostem się nie różniły, ale ten ostatni wyglądał na potężniejszego i jakoś tak mniej przyjaźnie patrzyło mu z oczu. Cóż jednak było robić, wyczyściłem, osiodlałem i jedziemy. Już pierwszy klus pokazał mi jak różnie mogą konie chodzić. Elektrant, również pięcioletni wałach, wyrzucał mnie w górę i nie raz mocno klapnąłem w siodło, albo i boleśnie trafiłem na przedni łęk. Od czasu do czasu wyciągał szyję i łeb do przodu i w dół, a ja ... nurkowałem za wozami, albo wyszarpywał mi je z ręki. Właściwie tragedia nie jazda. Ciągle musiałem coś robić, poprawiać, pilnować. Koń kręcił się na boki, szedł wolno i musiałem go popędzać na wszelkie możliwe sposoby, aby z jego woli nie pozostać za daleko z tyłu. Miał jednak pewną zaletę – kopał konie idące za nim, więc nie musiałem już używać żadnych wymówek, aby znaleźć się na końcu zastępu. Szczerze mówiąc, podczas tych ostatnich jazd nie bardzo miałem szansę na jakiegokolwiek podziwianie krajobrazów. W galopie zaś Elektrant zwykł opuszczać głowę nisko, właściwie wkładać ją między przednie nogi. Wówczas padał na mnie blady strach wynikający z braku przede mną ostatniej deski ratunku, jaką była szyja i łeb konia. Do tego potrafiła się oferma potknąć. Na szczęście robił to delikatnie i dzięki temu pozostawałem w siodle. Któregoś razu pozwoliłem Elektrantowi na większy odstęp od zastępu. Rozglądałem się właśnie wokół podziwiając przyrodę, gdy nagle konie, jeden po drugim zaczęły, znikać za zakrętem. Gdy zniknął ostatni, Elektrant ze stępa ruszył galopem o mało nie wyrzucając mnie z siodła na swój zad.

Usiedziałem i nie pogubiłem nawet strzemion, ale zanim cokolwiek zdołałem zrobić, np. pozbierać luźne wodze, już mijaliśmy zakręt. Miałem wiele szczęścia, że koń nie ściał za mocno zakręt i nie zaczepił moim kolanem i siodłem o któreś z drzew. Od tej pory już pilnowałem łobuza, aby za bardzo nie zostawał.

Mój pobyt na Polance dobiegał końca. Wiedziałem, że wrócę tu. Wrócę, bo jest pięknie, wrócę, bo jest miła atmosfera, wrócę, bo przede wszystkim chcę jeszcze pojeździć konno. Wiem już, że w dziewięć dni nie nauczę się jeździć, więc trzeba kontynuować tę wspianą przygodę.

Zanim wyjechałem, zarezerwowałem jeszcze pięciodniowy pobyt rozpoczynający się miesiąc później.